Zakład fotograficzny — Miroslaw Sliwa

Wszystkie urządzenia, które powinny normalnie obsługiwać rynek miejski sennie tkwiły pośrodku maleńkiego, ale jakże wiekowego gródka. Był ratusz, był kościół, była karczma, kilka sklepów, kino a nade wszystko tajemniczy i mroczny jak krypta, zakład fotograficzny. Po drugiej stronie rzeki, bo przez miasto płynęła rzeka, na wzgórzu sterczały i wyglądały jak scena wielkiego misterium ruiny zamku obronnego sprzed wielu stuleci. Baszta i resztki murów z widocznymi tu i ówdzie otworami strzelniczymi wybudowane zostały z wapienia, którego wszędzie tu było pełno. Lśniło to wszystko w słońcu i nakazywało wyobraźni ulatywać gdzieś tam w krainę baśni, a zwłaszcza pięciolatkowi, którym wówczas byłem.
Dopiero za dwa lata miałem zakochać się po raz pierwszy, w Elżuni, córce naszego organisty kościelnego. Adorowałem tę swoją pierwszą miłość przez cały czas trwania tego uczucia bardzo tajemnie. Pamiętam ją, stojącą na chórze w białej sukience z rozpuszczonymi włoskami, z rączkami bogobojnie złożonymi do modlitwy co wyglądało trochę tak, jakby w nie chuchała, ze spojrzeniem utkwionym w górze na sklepieniu kościoła i wiem, że podobnie jak wszystkie małe, rozmodlone dziewczynki całą sobą udawała aniołka, aby przypodobać się rodzicom i księdzu dziekanowi. Kiedy tak stała, to wyglądała dużo piękniej niż najpiękniejsza nawet prezenterka telewizyjna.

Z miłością do prezenterek telewizyjnych miałem pewien kłopot, gdyż na osiemnaście rodzin zamieszkujących w naszym budynku jedynie dwie posiadały odbiorniki telewizyjne. Mogłem więc, oglądać panie spikerki tylko wtedy, kiedy mój rówieśnik, syn inżynierostwa z pierwszego piętra zapraszał mnie do siebie, pod nieobecność rodziców. I całowaliśmy ekran tego telewizora wiedząc doskonale, że świntuszymy. Z kolei ze świntuszeniem mieliśmy już niejakie doświadczenia, bo dziewczyny z sąsiedztwa czasami bawiły się z nami „w doktora”. Niby grzech, ale… nie byłem jednak tak do końca przekonany czy zabawa „w doktora” z naszymi koleżankami to była taka wielka przewina, bo po pierwsze, to one często namawiały nas do tych niemoralnych igraszek, a po drugie kiedy były już nawet w całkowitym negliżu, to i tak wcale nie przypominały równie roznegliżowanych, ale dorosłych pań, które w rozgorączkowaniu oglądaliśmy na zdjęciach wykradzionych panu inżynierowi. Hm… tak właśnie wyglądało moje powolne wczuwanie się w rolę mężczyzny.

Zanim jednak zacząłem kochać się w córkach organistów, prezenterkach telewizyjnych i młodych nauczycielkach biologii, przeżyłem coś, co mało kogo w życiu dotyka tak, jak dotknęło mnie; stałem się mianowicie ofiarą zmacerowania intelektualnego w kontekście pewnych aspektów cywilizacji technicznej (Cóż, takie czasy).
Cofnijmy się więc, do okresu kiedy miałem pięć lat i powróćmy na nasz ryneczek, na którym znajdował się oprócz wymienionych wcześniej urządzeń również skwerek z ławeczkami.
Każdej niedzieli po mszy rodzice siadywali na jednej z ławek, a ja i moja młodsza siostra biegaliśmy dookoła rynku i wpatrywaliśmy się w ten nasz mały magiczny świat. Lubiłem przyglądać się mężczyznom pijącym piwo prosto z butelek zamykanych na porcelanki. Fascynował mnie sposób otwierania tych butelek. Jedno uderzenie kantem dłoni w metalową klamrę i porcelanka odskakiwała jak konik polony, a z butelki zaczynała wydobywać się piana. Wszyscy ci panowie pijący piwo byli odświętnie ubrani. Stali na chodniku przed restauracją, palili papierosy i rozmawiali ze sobą. Dzieci nie mogły swoim ojcom przeszkadzać w tych czynnościach, bo mogłyby usłyszeć: „Psia krew!”. I pili to piwo rodziciele, z jakimś rzec by można, ociąganiem i rezerwą. Patrzyli twardym wzrokiem gdzieś daleko poza horyzont, jak kowboje

na filmowych westernach. Powoli i dokładnie gasili czubkiem buta niedopałki. Wykonywali dokładnie wszystkie działania, które wykonuje się przed pojedynkiem rewolwerowców, o którym marzyli, na który czekali, a do którego nigdy nie miało dojść. Krótko mówiąc; kogucia fiesta u podnóża Gór Świętokrzyskich. Czasami w odrzwiach tej speluny dumnie zwanej restauracją ukazywała się już mocno podpita persona. Było wtedy trochę śmiesznie, trochę żałośnie, bo jakoś takie sytuacje nie współgrały z ogólnie panującym nastrojem.

W jednym z zakątków rynku znajdował się zakład fotograficzny. Początkowo przystawałem przed wystawą, przyglądałem się fotografiom i zastanawiałem się, jak to możliwe aby ci wszyscy ludzie pozwolili się tak zamknąć, wepchnąć i ścisnąć w tej ramce, na tej kartce papieru. Przecież byli wyraźnie mniejsi, no więc, musieli zostać jakoś ściśnięci, a poza tym w ogóle się nie poruszali… ktoś musiał im zakazać albo ich zaczarować. Nie potrafiłem tego pojąć; jak można dopuszczać do takich bezeceństw? Widywałem, przecież fotografie małych dzieci i wyraźnie acz z niepokojem konstatowałem, że rodzice tych zobrazowanych dzieciaków ponad wszelką wątpliwość chcieli się ich pozbyć, a więc ich nie kochali. Mój mały świat był ściśle uporządkowany, aż tu nagle, poprzez fotografie zaczął się weń wdzierać chaos i najprawdziwsza kosmiczna entropia. Niepojęty lęk i strach pięciolatka. Wymyśliłem więc, że są dwa rodzaje zniknięcia z tego świata; pierwszy to śmierć. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem czym ona jest, ale wiedziałem jak wygląda i miałem już niejaką świadomość, że wiąże się z dramatyczną nieuchronnością losu. Kiedyś, podczas ceremonii pogrzebowej widziałem w otwartej trumnie, kobietę w czarnej sukni tak znieruchomiałą jak na fotografii. No właśnie… jak na fotografii. Wszystko więc, zaczynało stawać się jasnym. Z tym, że śmierć, była podobno tylko bramą w zaświatowe nieba czy też piekła i te zaświaty z pewnością pełne były życia. Przecież wszyscy wiedzą, że chóry anielskie w niebie stale śpiewają na chwałę Boga, potępieńcy w piekle, zaś cierpią męki wiecznotrwałe, natomiast w czyśćcu zakładu fotograficznego… po prostu się tkwi. Tkwi się. Nic tylko się tkwi. Drzwi zakładu fotograficznego, przesłonięte ciemną, ciężką tkaniną kryły w moim mniemaniu siły tak mrożące, że królowa śniegu ze swoimi możliwościami była przy nich jedynie nadętą, zagubiona dziewczynką. W ten sposób, po raz pierwszy w życiu zostałem dotknięty przeczuciami metafizycznymi.
Szczerze mówiąc nie miałem z kim podzielić się swoimi obawami, gdyż moi koledzy nie byli nastawieni zbyt refleksyjnie i woleli rozbijać sobie głowy kamieniami lub zdzierać łokcie i kolana w ruinach starego zamku. Ja, oczywiście również strzelałem z procy, czołgałem się, w zasypanych po samo sklepienie lochach zamkowych w poszukiwaniu skarbu albo chodziłem łowić raki, ale każdej niedzieli przystawałem na chwilę przed wystawą przedstawiającą odświętnie ubranych i strojących uroczyste miny ludzi. Przyglądałem się im uważnie, dostrzegałem w ich oczach strach i wiedziałem, że tak musi być, gdyż ci z fotografii zawieszeni zostali nie tylko między niebem a piekłem, ale również pomiędzy życiem a śmiercią.
Myślę, że moje częste przystawanie przed wystawą zakładu fotograficznego w końcu natchnęło w jakiś sposób moich rodziców, gdyż pewnego dnia oświadczyli mnie i mojej młodszej siostrze, że trzeba będzie pójść do fotografa. Zapytałem, więc z lękliwie łopoczącym sercem:
- Po co?
- Każemy wam zrobić zdjęcie – Usłyszałem w odpowiedzi.
- To znaczy, że my będziemy na fotografii?
- Tak, ty i Wiesia.

Można w to wierzyć albo nie, ale to był dla mnie wyrok. To było gorsze niż wyrok śmierci. Jednak nie do trumny ze świecami, modlitwą, płaczem i stukotem młotka; tylko na fotografię. Byłem kompletnie

załamany. Nie kochają nas i chcą się nas pozbyć w tak perfidny sposób, a na dodatek uśmiechają się do siebie i do nas, zupełnie beztrosko. To przechodziło moje pięcioletnie pojęcie i pomyślałem sobie, że życie jest strasznie bezwzględne. Zupełnie nie wiedziałem jak mam wytłumaczyć mojej młodszej siostrze, co oni chcą z nami zrobić. Rozumiałem tyle, że oto teraz pozostała mi już tylko ona, jej pozostałem tylko ja, a przed nami za ciemną zasłoną zakładu fotograficznego czekają diaboliczne siły, przed którymi nie da się umknąć. Oj, wydoroślałem w jednym momencie. Działy się we mnie wszystkie te rzeczy, które dzieją się w tych, którzy wiedzą, że koniec jest już bliski. Przez jakiś czas myśl o tym, jak uratować siebie i siostrę tłukła się po mojej głowie jak oszalała. Myślałem o tym żeby zabrać ją ze sobą i pójść w świat, ale co my w tym świecie zrobimy?… tego nie wiedziałem. Nauki płynące z bajek nakazywały sceptycznie patrzeć w przyszłość, przecież my byliśmy dziećmi robotnika przemysłowego, a bajki o dzieciach robotników przemysłowych nic nie mówiły. Zresztą moja siostra nie poszłaby ze mną nigdzie, bo ona bez tych swoich lalek i koleżanek z podwórka, to zupełnie nie potrafiła wytrzymać. I żeby chociaż miała tą jedną, ulubioną lalkę, ale przecież wszystkie lalki, które posiadała, to były jej ukochane córeczki, no to, jak ja ten cały majdan miałem zabrać ze sobą. Jednak dużo ważniejsze było to, że od stanu zwykłego smutku do permanentnej histerii moja młodsza siostra przechodziła z szybkością dźwięku, przy czym płacząc wydawała z siebie odgłos tak żałosny, a potężny zarazem, że przynajmniej jedna trzecia miasta, za każdym razem gdy to małe dziecię płci żeńskiej zaczynało płakać, to ta miejska ludność była od razu zaalarmowana i święcie przekonana, że oto kogoś mordują i to przy pomocy wyrafinowanych metod. No i jak ja miałem pójść w świat z kimś takim? Była to jednak moja siostra, a wtedy, o czym byłem najświęciej przekonany, nikogo poza nią nie miałem. I już całą zgryzotą było to, że nie było się kogo poradzić, ani przed kim wyżalić. Byłem sam, a przeciwko mnie okrutny los. Staczał się na mnie jak lawina kamieni. Miałem nadzieję, że rodzice może zapomną, byli przecież dla nas ciągle tacy mili. Martwili się nawet, że jakoś zamknąłem się w sobie. A gdy zapytali, czy aby nie jestem chory, to od razu postanowiłem symulować… ale na niewiele się to zdało, gdyż po kilku dniach okazało się, że jestem zupełnie zdrów.

Lato było w pełni. Za naszym blokiem rozpościerał się łan dojrzewającej pszenicy zaś z drugiej strony budynku tafla jeziora mieniła się srebrem. Dzieciaki z całego osiedla biegały za Maryśką, panną z dzieckiem, wykrzykując za nią obrzydlistwa, które wcześniej usłyszały od swoich rodziców. Mężczyźni, którzy po pracy szli łowić ryby nad jezioro, wracali, może nie najtrzeźwiejsi, ale zawsze tych kilka płoci, czasami okoń albo szczupak dyndało w siatkach sunących nieregularnymi zygzakami, głownie do przodu, ale również na boki i do tyłu wędkarzy. Żony wyczekujące cały wieczór, na tych swoich łowców, widząc ich tak sunących, jakby tańczyli tango wybiegały z domów i waliły tych swoich mężów czym się dało, po łbach, a mężowie w geście obrony wymachiwali rękami jakby się oganiali od os i wykrzykiwali: A pudziesz, ty psio krwio!

W takich oto warunkach przyszło mi dożywać ostatnich chwil mojego, krótkiego życia. Świat był kompletnie obojętny na moją krzywdę, a dzień sądny się zbliżał i w końcu nastał.

Po oznajmieniu przez wysoki sąd rodzinny wyroku o dacie sfotografowania, nawet bez prawa głosu dla skazanego, pomyślałem że najwyższy czas odbyć rozmowę z drugim skazańcem, jak dotąd niczego nieświadomym, czyli z moją siostrą.

Zaciągnąłem tą beksę do pokoju, bo oczywiście ryczała, że ona chce wyjść na podwórko i zacząłem cicho, choć w jakimś gorączkowym pośpiechu tłumaczyć jej, co nas czeka. W zasadzie mogłem tego nie robić, boć to przecież bez znaczenia czy ginie się świadomie, czy też nie. Znakomita większość stworzeń umiera w nieświadomości i to oszczędza im różnych lęków dusznych związanych z istnieniem lub też nieistnieniem po śmierci, jak również nie wzbudza strachu przed bólem, który ze znikaniem niechybnie związany być musi. Nawiasem mówiąc bardzo bałem się bólu związanego ze ściskaniem i pomniejsza-

niem. To prawie paraliżowało wolę. Wróćmy jednak do mojej rozmowy z siostrą.
- Oni chcą nas sfotografować – Powiedziałem.
- No, wiem. I co z tego?
- Jak to, głupia? Nie rozumiesz? Przecież my znikniemy.
- Jak znikniemy?
- No pomyśl trochę, skoro będziemy na zdjęciu, to nie będzie nas tu.
- Jak to? Dlaczego?
- Nie wiem dlaczego? Rodzice chcą nas sfotografować, bo chcą się nas pozbyć.
- Ale czemu? – I tu zaczęła ostro ryczeć.
- Cicho bądź. To już i tak nic nie pomoże. Nie kochają nas, to nie. No… nie płacz już – Starałem się ją uspokoić. Trochę pomogło.
- A to będzie bolało? – Zapytała jednak po upływie chwili, ponownie krzywiąc buzię w podkówkę.
Tu już nie miałem serca torturować jej dalej, bo i prawdę mówiąc nie chciałem jej o tym mówić w ogóle, ale cóż sam byłem mały, wystraszony i tak kompletnie osamotniony jakbym, ni stąd ni zowąd znalazł się w otchłaniach kosmosu. Ciemność, chłód, niezmierzoność, czyli kompletną pustkę; oto co czułem. Mała nie chciała już wychodzić na dwór. Siedziałem przy niej dość długo. Bardzo posmutniała. Co jej tam chodziło, po tej małej łepetynie tego nie wiem, ale myślę, że musiała czuć podobnie jak ja.
Tej nocy praktycznie nie spałem. Zapadłem w jakąś malignę. Wydawało mi się, że przed kimś uciekam, ale nogi mam tak ciężkie, że nie potrafię ich oderwać od ziemi, a nagle latam między tyczkami tkwiącymi w nieskończoności, po czym z powrotem grzęznę w posadzce ułożonej na kształt szachownicy. Nie widziałem, co prawda swego prześladowcy tylko jego cień, ale to było o wiele gorsze niż zajrzeć bestii prosto w ślepia.

Rano po przebudzeniu, co bardzo mnie zdziwiło, nie czułem już tego ciężaru, który dźwigałem przez kilka ostatnich dni. Drgało tylko coś we mnie. Były nawet takie chwile, kiedy ni z tego, ni z owego ogarniała mnie mglista nadzieja, niewiadomo na co. Ale ten względny spokój prysnął nagle, gdy ujrzałem siostrę. Bardzo obawiałem się czy ona potrafi zachować się tak jak należy. To dziwne, że ona czteroletnie dziecko, tak doskonale pojęła istotę tego, co chciałem, ale nie umiałem jej przekazać. Chodziło o zachowanie godności. Pewno inne dzieci próbowałyby rozmawiać z rodzicami, płakać lub inaczej ich przekonywać, ale to nie ja. Ja wiedziałem swoje. Sam się wszystkiego domyśliłem i wszystko zrozumiałem.
A teraz rozpoczął się ostatni akt dramatu. Po śniadaniu ubrali nas na czysto. Ich zadowolenie było dla mnie tak groteskowe, jak cała rzeczywistość wokół. Ja i siostra szliśmy przodem trzymając się za ręce w geście oczywistego porozumienia. Nie patrzyliśmy na nich, na naszych rodziców, na naszych prześladowców. Chyba tylko raz Mała chciała się obejrzeć, lecz natychmiast zdyscyplinowałem ją silnym uściskiem dłoni. Szliśmy nieśpiesznie, krok za krokiem. Byłem zły; czemu nas nie poganiają. Przecież tak byłoby bardziej po ludzku. Na dodatek kolega siedzący na trzepaku zapytał mnie:
- Gdzie idziecie?
- Do fotografa – Odrzekłem ponuro.
- A wyjdziesz później na dwór?
- Nie, nie wyjdę. Na pewno nie wyjdę – W moim głosie była zupełna rezygnacja.
- Dlaczego, synku mówisz koledze, że nie wyjdziesz? Będziesz mógł wyjść – Wtrąciła się z uśmiechem moja mama.
No, tego było już mi naprawdę za wiele. Co za bezczelność? Nie dość, że skazują nas na płaskie trwanie na wieczność, bo pewno postawią nas na jakiejś komodzie albo powieszą na ścianie, to jeszcze naigrawają się z nas, że będziemy mogli dalej bawić się z dziećmi na podwórku. Postanowiłem na resztę danego mi czasu zamilknąć.

Wlokąc się jak w kondukcie dotarliśmy w końcu na rynek. Kiedy zbliżaliśmy się do witryny zakładu fotograficznego, to nagle poczułem jak czas związał mi się z przestrzenią. Wszystko przyśpieszyło do prędkości światła. Każdy mały krok tak szybko skracał moje życie. Myślałem, że zemdleję, ale nie mogłem, bo oni tam byli. Stali za plecami, radośnie obojętni.
Jak weszliśmy do fotografa? Tego zupełnie nie pamiętam. Tak jakbym na chwilę utracił przytomność. Kiedy odzyskałem władzę w zmysłach, pojąłem że się nie pomyliłem; półmrok i dziwny zapach panujący wewnątrz upewnił mnie, że oto zupełnie jestem już we władaniu ciemnych sił. Losy i perypetie Jasia i Małgosi, Czerwonego Kapturka i innych bajkowych postaci, którym tak potrafiłem współczuć, objawiły mi się tam, za drzwiami zakładu fotograficznego, jako bardzo dla nich łaskawe. Zielonego pojęcia nie miałem, o technicznej stronie tego niecnego przedsięwzięcia i nie potrafiłem sobie tego nawet wyobrazić, więc jednak z ciekawością chociaż przesyconą strachem rozglądałem się wokoło. Lampy rzucające upiorne światło, dziwne kręcone krzesło, biały ekran i tajemnicza czarna skrzynka z obiektywem – miejsce straceń, katownia. A kat – fotograf wyglądał jakże dobrotliwie; uśmiechnięty, starszy pan, trochę łysiejący i głaszczący nas, po naszych sparaliżowanych strachem głowinach.
Perfidia sięgnęła nieboskłonu, ale przecież ja już o tym wiedziałem. Pomyślałem nawet, że na takim świecie nie chcę żyć; bo jak? Wykonanie wyroku też nie poszło gładko. Kiedy ustawiono nas naprzeciw tej czarnej skrzynki, kiedy wycelowano w nas te lampy, które okropnie raziły w oczy i kazano nam się uśmiechać, to wtedy moja siostra nie wytrzymała i swoim zwyczajem zawyła jak syrena na dachu remizy strażackiej. Cóż, nie udało się jej już uspokoić, nikomu. Ani groźbą, ani prośbą. Płakała i płakała, chociaż próbowała się powstrzymywać. Doceniłem to… zresztą w takim momencie wolno jej było płakać. Tak właśnie pomyślałem i w ostatnim paroksyzmie życia złapałem ją za rękę. Byłem już zresztą wściekły na tego fotografa, na tych rodziców; czego oni od nas chcą? Niech robią swoje i dadzą nam święty spokój. Nagle fotograf, już bardzo poirytowany podszedł do aparatu i powiedział: Uwaga!

Drżałem, ale starałem się opanować to drżenie, ściskałem mocno dłoń mojej siostry i patrzyłem prosto w zimne oko obiektywu. Moje zmysły nie odbierały żadnych sygnałów z zewnątrz. Jakieś urywane strzępki myśli przelatywały na wskroś mojego umysłu. Ciało już nie było moje, ja cały już nie byłem swój. Tak… wtedy naprawdę chciałem przestać istnieć, chciałem końca tej udręki. I podczas tego mojego żmudnego procesu żegnania się i wydostawania się z życia, fotograf z głupia frant wyprostował się i powiedział: Gotowe.

I wtedy znowu przeżyłem coś, co z definicji poznałem dopiero po latach; przeżyłem katharsis. Byłem zdziwiony i było to zdziwienie, które rosło i zmieniało się w radość, ale to nie był gwałtowny proces. To było spokojne, ale potężne jak przypływ morza.

Siostra nadal płakała, rodzice byli zawstydzeni, fotograf zły, a ja spokojny. Kiedy wracaliśmy powietrze miało inny zapach, słońce grzało jak piec przed świętami Bożego Narodzenia, a lekki zefirek czule muskał dwie
cudownie ocalone młode istoty.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Miroslaw Sliwa, dodano 18.09.2012 11:31

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.